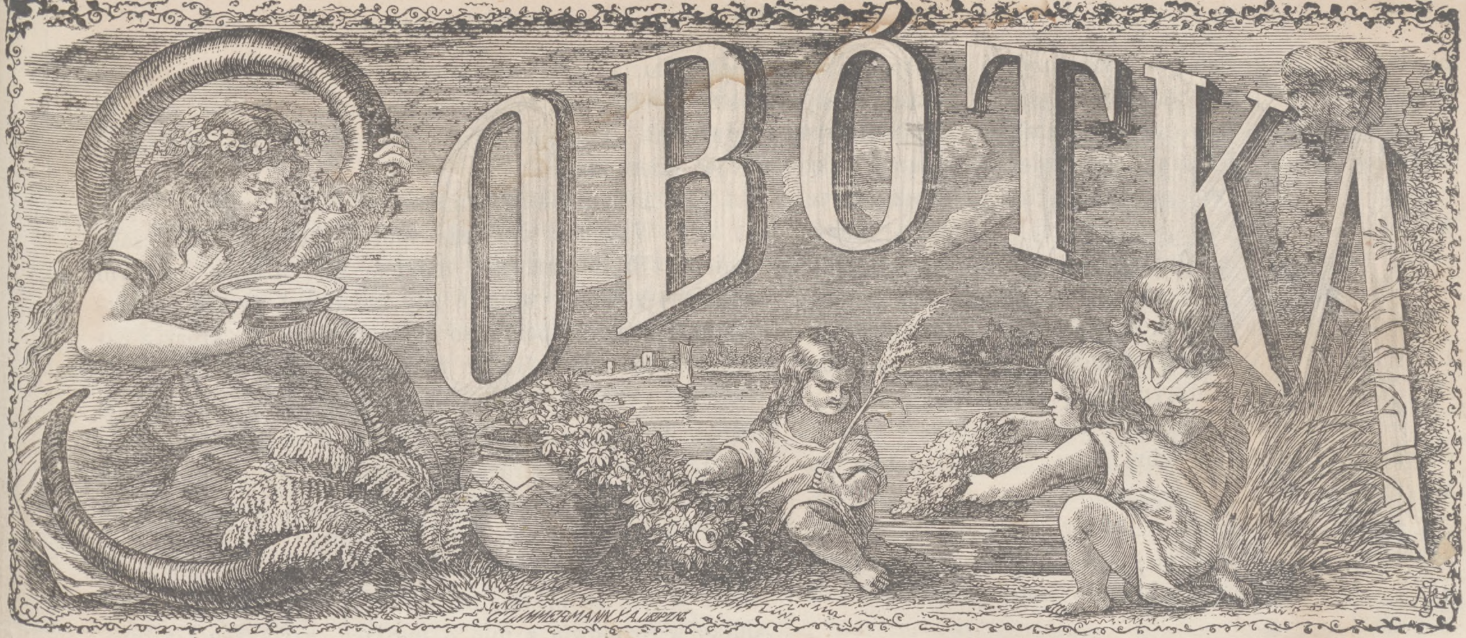


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 40. Poznań, dnia 1 Października 1870. Rok II

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

II.

Bogaty kuzyn.

W pięknym i bogatym domu przy ulicy Grodzkiéj mieszkał pan Ambroży Ciołek, wraz z żoną swoją ze znakomitéj familii pochodzącą, zajmując w nim całe pierwsze piętro na swoją wygodę, resztę za bezcen wynajmując lokatorom. Był to pan z panów, jak sam lubił powiedzieć o sobie: w młodości z małym zapasem fortuny rzucił się w zawód fabryczny, i zyskał przez to tyle, że w 50 roku swego życia miał już ten duży dom, w którym teraz mieszka i gotówki do 200,000. Gniewali się wprawdzie na niego bracia panowie Ciołkowie, że z takiém imieniem rzuca się w handlowe rzemiosło, ale on rozsądkiem praktycznym kierując się, nie zważał nic na gniew ich. —

Był to więc człowiek bogaty, z charakteru dobry i uczynny; miewał swoje narowy fantastyczne, z których ludzie zręczni zawsze korzystać umieli; serca czułego i pobożności szczeréj, — towarzyski, wesoły, lecz na stare lata (miał już teraz 72 lat) niemoc nie pozwalała mu używać nagromadzonego dostatku; leżał prawie całe już 2 lata w łóżku, od którego nie odstępowali lekarze. Żona jego zacna i poważna matrona, przywiązana do niego całém sercem, dzieliła wszystkie jego dole i niedole życia, — ale nie dozwolił jéj Pan Bóg doczekać się upragnionego szczęścia dla zamężnéj kobiety — nie była matką. Pan Ambroży był bezdzietnym. Bolało to starego uczciwca, bo nie miał w czyje ręce powierzyć swojéj fortuny, nie miał serc poczciwych koło siebie, któreby jego starość umilały i jéj dolegliwości swém przywiązaniem łagodziły. — Krewni jego wszyscy nie byli do niego szczerze przywiązani, z powodu sfabryczenia ich znakomitéj Ciołkowatości; i on téż o nich nie dbał, a w chorobie nie lubił nawet ich odwiedzin. Odwiedziny bowiem takich krewnych u chorego niebezpiecznie kuzyna, nota bene bezdzietnego, znany i łatwy do odgadnienia mają w sobie interes. Pan Ambroży domyślał się go zawsze; więc nie lubił tych krewnych Ciołków, którzy mu słodkie słowa pociechy i nadziei znosili. — Choroba tymczasem u starego wzmagała się. Wiek i defekta podobno jakieś, odbierały najtroskliwszym lekarzom nadzieję przywrócenia mu zdrowia; więc rad nie rad musiał się biedny pan Ambroży zdecydować na to, że trzeba będzie pożegnać się z ziemią — i zamieszkać na długo w jéj wnętrzu.

— Przyszła kréska na Matyska, mówił raz do siedzącéj przy jego łóżku małżonki — trudna rada — trzeba się wynosić tam, gdzie się już tyle ludzi wyniosło. Żal mi trochę świata — ale najbardziéj mi żal ciebie, dobra moja przyjaciółko.

Pani Ciołkowéj łzy się zakręciły w oczach; otarła je jednak ukradkiem i powiedziała jakiś pocieszający frazes mężowi, nie potrzebnie takie smutne myśli przybierającemu sobie do głowy. Ale i ona wiedziała, że stary zamrze wkrótce. Siły jego były już bardzo wątłe, dwa lata ciągłych cierpień, zburzyło w niéj wszelką nadzieję pociechy.

— Pan Bóg dał mi dość majątku, mówił po chwili,

nieco słabszym głosem — wystarczy go na zapewnienie tobie przyzwoitéj i swobodnéj przyszłości — ale ja moja droga Maryniu, chciałbym prócz pamięci w twojém sercu, które się pewnie dla mnie nie zmieni, zostawić także pamięć i dobre słowo po sobie u ludzi, przez których wdzięczność dostajemy się łatwiéj do nieba. Jabym chciał wypłacić się Opatrzności, ktora mi sprzyjała, być pociechą i opatrznością dla jakiego szlachetnego człowieka, jakiego uczciwego sieroty — któryby błogosławił mi po śmierci i westchnął szczerze za moję duszę. Rozumiesz mię Maryniu?

— Rozumiem, poczciwy mój Ambroży — ale to wszystko za wcześnie obmyślasz. Późniéj o tém pomówimy.

— O! moja droga — nigdy nie jest za wcześnie w sprawie życia i śmierci.

— I to prawda — lecz to bolesny przedmiot do rozmowy.

— Do większéj boleści musisz się przygotować, moje serce.

— Wszak podobno masz już dawno przygotowany testament? To twoja święta wola.

— Miałem — i podarłem go; był niesprawiedliwym, pamiętałem w nim tylko o ludziach, a o Bogu nic. Teraz chcę Bogu wypłacić się za jego łaskę.

— Więc podyktuj nowy.

— Dobrze; chcę to zrobić — lecz myślę koniecznie o takiéj szlachetnéj istocie, którąby godną była cząstki mojéj uczciwéj pracy. Czy nie znasz kogo takiego?

— Z obcych znam wielu; ale i z twoich krewnych jest jeden poczciwy chłopiec, biedny, pracowity i bardzo chwalony przez wszystkich.

— Któż to taki?

— Stanisław, syn Hieronima.

— A! prawda — syn tego szulera, co do mnie przegrał swój domek trzy razy, chociażem go ani razu nie brał na swoją własność.

— Tak jest, ten; jest to bardzo miły chłopaczek; utrzymuje się z własnéj pracy.

— Czemuż ja go nie znam? zapytał się trochę gniewnie pan Ambroży.

— I ja go niedawno poznałam, mówiła szczerze pani Ambrożowa, wczoraj opowiadał mi o nim pan Sylwester, lekarz, który go zna osobiście, i nie może się nachwalić jego pilności i dobrego zachowania się.

— O! droga Marynieczko moja, to go trzeba koniecznie sprowadzić tu do mnie. A jeżeli się przekonam, że chłopiec dobry i pracowity, z największą ochotą dopomogę mu i przez niego odpłacę się Bogu najlepiéj. Lecz powiedz mi, jakim to sposobem się stało, żeśmy o nim dotąd nic nie wiedzieli?

— To wszystko przez pana Hieronima. Nie pamiętasz jakie to głupstwa wyprawiał z nami. Z początku nie chciał nas znać, gdyś jeszcze stał na czele fabryki twojéj; a potém gdy mu karty niedopisywały, to się i przypomnieć i wydurzyć umiał, niejeden tysiączek od ciebie, aż w końcu gdyś mu odmówił parę razy, znowu dawna złość powróciła i zakazał dzieciom swoim znać nawet ciebie.

— Prawda — prawda.

— A nie pamiętasz to, jak raz spotkałeś tego samego Stasia, o którym mowa, i poznawszy go po podobieństwie twarzy, zaczepiłeś go sam, i prosiłeś, aby cię odwiedził. Pamiętasz jaki nierozsądny list napisał ci za to Hieronim?

— A pamiętam, pamiętam.

— Więc też dla tego mój kochany, aż do czasu śmierci Hieronima nie mógłeś nic wiedzieć o tym chłopcu, a wtedy właśnie gdy on umarł, ty się położyłeś w łóżko, i zapomniało się o biedaku — który z całego rodzeństwa i familii nawet jeden pozostał.

— A! to też bardzo ci dziękuję za przypomnienie twoje. Trzeba zaraz pomyśleć o tym chłopcu. — I w skutek téj szczeréj i serdecznéj rozmowy, Stanisław Ciołek został najprzód zaproszony w dom pana Ambrożego, za pośrednictwem lekarza pana Sylwestra; przyjęto go prawdziwie gościnnie i życzliwie, a pan Ambroży upodobał sobie w nim osobliwie, bardzo wielką przyjemność znajdując w rozmowie z nim o ludziach, książkach i sztuce. O wszystkiém tém pan Ambroży miał nie złe wyobrażenia, a Staś umiał o tém wszystkiém mówić z życiem, jasno, zrozumiale i umiejętnie. Był to rzeczywiście bardzo przydatny chłopiec takiemu schorzałemu człowiekowi, którego jedyném szczęściem było zapomnienie chwilowe przynajmniéj o swém położeniu, w jakie wprowadzały go rozmowy i opowiadania Stasia. Staś był bardzo zadowolniony z bliższego zapoznania się z panem Ambrożym, który był nawet, lubo dalekim, jego krewnym, chociaż stopnia i nazwy tego pokrewieństwa oznaczyć nie było można. Pana Ambrożego pokochał serdecznie i bezinteresownie, i żal mu było tego człowieka, pełnego przymiotów serca najzacniejszych, tak widocznie w oczach wszystkich gasnącego.

W Lepiance dowiedziano się natychmiast o zbliżeniu się Stasia do bogatego pana Ambrożego. Akcye konkurenta poszły znacznie w górę. Mama coraz surowiéj napominała Wikcię, aby nie była głupią, i nie wypuszczała z ręki **złotego ptaka**, który się sam tak szczęśliwie nawinął.

— Cóż mi z tego, kiedy ja nie kocham, mówiła szczera Wikcia.

— Ej głupiaś — z tém kochaniem twojém — widzę przecież że z nim lubisz rozmawiać, a że chłopak przystojny i dorzeczny, to i o kochanie nie ma się co obawiać. A z resztą moje dziecko, wierz tylko matce, która zapewne pragnie twojego szczęścia. Pan Stanisław będzie bogaty, — a majątek dziś znaczy nie mało. Nie mówię ja, żeby znaczył wszystko, ale jest zawsze bardzo ważnym warunkiem szczęścia.

No dobrze, dobrze — odpowiadała na to Wikcia, jeszcze nie mamy o czém mówić; jeszcze daleko do końca w tym romansie; zobaczymy, jak się daléj rozwinie. —

Tomcio z radością donosił mamie i siostrze o coraz to większém powodzeniu Stasia u Ambrożych, z powodu których właśnie, młody konkurent rzadziéj teraz mógł bywać w Lepiance.

— Żeby mama wiedziała, jakie dostaje prezenta, mówił Tomcio, a co pieniędzy! Ten pan Ambroży pokochał go jak syna, ani go wypuścić nie chce od siebie; on musi bywać u niego po kilka godzin dziennie, i dla

tego nawet skarżył mi się kiedyś, że nie może zaglądać do Lepianki tyle razy, ileby pragnął.

— O! niech nie opuszcza pana Ambrożego, zauważyła mama — Wikcia mu przebaczy tę przerwę w konkurach, ale za to wynagrodzi mu potém oddaniem natychmiast swéj ręki. Staś tymczasem rzeczywiście stawał się codzień milszym i droższym dla pana Ambrożego. Chory ten kuzyn jego, zbliżał się widocznie do grobu. Zwołane stanowcze konsylium wszystkich znaczniejszych lekarzy miasta Krakowa, zadecydowało swoje nieodwołalne ultimatum, zawierające w sobie wyrok śmierci chorego. — Pan Ambroży domyślił się tego wyroku Ostatek więc sił swoich postanowił obrócić na sporządzenie testamentu, i zabrał się do tego niezwłocznie W obecności notaryusza i dwóch potrzebnych świadków ułożony więc został testament, którego osnowa nikomu wiadomą nie była. Pani Wilecka jednak musiała się jakimś fortelowym sposobem dowiedzieć o jego treści bo zacierając ręce z radości, winszowała panu Stanisławowi pięknéj fortuny. Staś nie wiedział o niczém — lubo domyślał się czegoś. Pan Ambroży, już teraz rzadko bywający przytomnym — korzystając z jedné chwili takiéj — odezwał się do Stasia:

— Zrobiłem testament — pamiętałem i o tobie Staś ucałował mu ręce. Stary zapłakał i był prawdziwie szczęśliwy. Był to zacny człowiek. —

W kilka dni potém umarł. Stanisław szczerze zapłakał nad jego grobem — lecz gdy po pogrzebie, spotkawszy się z wdową po nieboszczyku, otrzymał od niéj zimne zaproszenie do odwiedzenia jéj osamotnionych progów — zabłysło mu po raz pierwszy przypomnienie słów ś. p. Ambrożego, który mu coś w swoim testamencie przyrzekał. Zdziwiło go to zimno, z jakiém pani Ambrożowa zapraszała go do siebie, a zdziwienie to urosło jeszcze bardziéj, kiedy przyszedłszy do niéj został przyjęty jeszcze zimniéj i obojętniéj. —

— Nie ma już, nie ma pańskiego Dobrodzieja — mówiła z pewnym przekąsem — biedna wdowa nie będzie w stanie przyjmować swoich gości tak suto, jak nieboszczyk, ani też obdarzać takiemi prezentami.

— Bolałyby mię te słowa, rzekł na to do żywego tknięty Stanisław taką mową, gdybym się poczuwał do jakiéj z mojéj strony winy lub natręctwa w domu państwa. Nigdy się tutaj nie wpraszałem, samiście mię państwo wezwali — i na wasz rozkaz przyszedłem. Nie rozumiem więc, co znaczą te gorzkie wyrzuty Pani.

— Zrozumiesz Pan później, jak poznasz żal wdowiego serca, którego stałeś się powodem.

— Ja? ależ chyba bez mojéj woli i wiedzy? —

— Być może, ale w skutek twego przypodobania się nieboszczykowi, który....

— Zbyt był dla mnie łaskaw.

— Sam osądzisz.

Stanisław domyślił się, że tu chodziło o testament, którego jednak odmienić już nie było można. Krótko więc pobył jeszcze u biednéj wdowy, i pożegnawszy ją, nie zajrzał do niéj przez dni kilkanaście.

Lecz cóż się stało z panią Ambrożową? — Wszak ona sama podszepnęła swemu mężowi myśl o Stanisławie, ona sama go chwaliła tak przed nim — a teraz tak złośliwie przemawia do niego?! Dziwna rzecz — ale tylko na pozór. Po zrozumieniu jéj, stanie się jasną i naturalną. Pani Ambrożowa, lubiła bardzo pieniądze; wiedziała, że po mężu odziedziczy spory majątek, nie była zaś przy tym swoim materyalizmie do tyla złą i nieużytą, aby miała wzbraniać mężowi wyświadczenia komuś dobrodziejstwa. Podsunąwszy zaś biednego akademika, pewną była, iż aż nadto dość będzie dla niego szczęścia, jeżeli mu niespodzianie spadną jakie 3 lub 4 tysiące złotych do kieszonki — i w téj myśli, z całą ochotą i otwartością przychylała się do Stasia -- lecz gdy nieboszczyk bez jéj wiedzy podyktował ostatnią swoją wolę, gdy pokątne plotki dochodzące jéj uszu, przebąkiwały o jakimś sutym legacie, zapisanym Stanisławowi, zaczęła sama żałować swojéj o nim pamięci, zwłaszcza, że bajki chodziły takie, iż legat ten z wielką jéj krzywdą i boleścią jest połączony. Nie wiedział nikt, o co chodziło, szeptano jednak o tém głośno, lecz zkąd czerpano wiadomości, nikt nie był świadom. Pani Ambrożowa przeto zmieniła się odtąd dla Stasia najzupełniéj. W przyjęciu go u siebie zdradziła nawet swój żal ku niemu, choć wcale nie słuszny, on też, jako nie poczuwający się do winy, odpowiedział na to z godnością, i przestał u niéj bywać. Bywał za to częściéj znowu w Lepiance. Tam poetyczność jego odżyła napowrót, a Tadeuszowska idea zaczęła go na nowo usposabiać do marzeń. Ale bo też do tych marzeń przybyło teraz żywiołu! Śmierć bogatego kuzynka, nadzieja prędkiego odziedziczenia jakiéjś sumki — a więc zostania majętnym — rozumie się że majętnym w stósunku do dotychczasowego ubóstwa jego i niedostatku; więc też marzył o bliskiéj swojéj przyszłości i o prędkiém urzeczywistnieniu swoich marzeń sercowo-miłosnych. Marzyła też z nim i Wikcia, już teraz podzielająca uczucia jego serca... marzył Tomcio ciągnący kabałę na wysokość sumki, mającéj jego przyjaciela uszczęśliwić, marzyła i mama, jedyna z pomiędzy wszystkich najwięcéj przeczuwająca i uśmiechająca się z tego powodu tajemniczo.

— Gdybym tak dostał z 5 tysięcy, mówił nieśmiało Staś — tobym sobie wziął w dzierżawkę sąsiedni państwa dworek, i grzebałbym sobie w ziemi, a prócz tego kończył moje studya. — Byłoby to prawdziwie szczęściem dla mnie. —

— I jabym była szczęśliwa, rzekła Wikcia; mielibyśmy pana tak blisko, byłoby nam weseléj. —

— A jeżeli Pan dostaniesz więcéj? zapytała matka.

— Więcéj! O mój Boże — szczęścia mego opisać bym nie umiał.

— I Pan nie przypuszczasz tego; a pocóżby to Panu wyrzuty robiła pani Ambrożowa, gdyby miało chodzić o 5 tysięcy; przecież to łatwo się domyśleć, że tam chodzi o znaczniejszą sumę.

— Tak — tak — zawołał wtedy Tomcio siedzący przy oknie na fortepianie i ciągnący passyans napoleoński z dwóch talii — wyszedł mi ważny passyans — a chodziło teraz czy legat wypada między 10 a 15 tysiącami. —

— A jakbym ja powiedziała wam moje dzieci, że jeszcze wyżéj wypadnie — rzekła na to z tajemniczą

powagą mama. — Aha! dziwicie się. — No no — nic jeszcze nie mówmy dziś, zobaczy pan Stanisław, czy nie miałam racyi. —

I tego rodzaju gawędek, rachub i słodkich nadziei było pełno w Lepiance — a Stanisław już słyszał jak mu Jankiel gra na cymbałach na weselu — i czekał tylko niecierpliwie téj chwili, kiedy się dowie o swojéj przyszłości. —

Człowiek i papier.

Dzieje papieru są zarazem dziejami rodu ludzkiego, bez niego bowiem wpływ sztuki drukarskiéj nie byłby tak wielki. Oświecenie Europy, którego piętno widzimy w naukach, sztukach i przemyśle, bez papieru ledwieby istniało; bo papier, to pierwszy rozległy telegraf, za pomocą którego ludy się zjednoczyły, udzielając sobie nawzajem swoich myśli i odkryć. Spotrzebowanie jego jest naturalną miarą umysłowego zajęcia narodu, jak rozchód żelaza jest miarą dla jego czynności przemysłowéj.



Juhasy.

Cofając się w pierwsze początki oświaty, spostrzegamy, jak historya papieru nierozerwanym węzłem połączona jest z powolném wykształceniem ludzkości. Przed urobieniem języka, można było obejść się bez materyału piśmiennego. Przyroda zrazu nadała człowiekowi inną mowę, jako sposób bezpośredniego porozumienia się, niezdatny jednak do działania na ludzi oddalonych: mowę giestową, dziś jeszcze tak pełną wyrazu u głuchoniemych. Później człowiek ukształceniem języka nadał stałą formę swoim myślom, a wierny swéj naturze, dążył do utrwalenia takowych, i utworzył sobie pismo, którego pierwszemi kształtami były pomniki wystawione z ziemi, z kamieni i t. d.

Sposób pisania staje się znowu miarą dla stopnia uprawy języka i umysłowego stanu w ogólności. W piśmie obrazowém dosięgnął człowiek znacznego już postępu, chociaż materyały służące do pisania: kamienie, cegły i dłuta bardzo były jeszcze niedokładne. Pismo obrazowe dowodzi ścisłego związku człowieka z otaczającą go przyrodą, i dla tego używane w niem znaki bez wyjątku są obrazami natury. Najwięcéj znany jego zabytek widzimy w hieroglifach starożytnych pomników egipskich. Wszelako inne także ludy, a zwłaszcza w Ameryce południowéj, posiadają wykute w skałach pismo obrazowe.

Jak słabe były początki pisma głoskowego, dowodzi sposób przyjęty przez starożytnych Peruanów dla wcielenia swoich myśli. Używali oni pisma węzłowego, o którym Tschudi w Zarysach o Peru donosi. Na głównym sznurze, okazującym myśl walną jakiéj wiadomości, związywano pomniejsze, których węzły sztucznie splecione, służyły do wyrażenia szczegółów. Częstokroć sznury uboczne były rozmaitego koloru; i tak: czerwony oznaczał żołnierzy, żółty złoto, biały srebro, zielony zboże i t. d. Jak uciążliwém było to pismo do czytania, łatwo pojąć, gdy zważymy, iż czytający musiał dowiadywać się ustnie, czy węzły odnosiły się do spisu ludności, do podarków, do wojny i tym podobnych przedmiotów, przez co monarcha był nawet przymuszony utrzymywać stałych urzędników, celem odcyfrowania takowych. Późniéj atoli i ten nieokrzesany sposób, wysokiéj doszedł doskonałości i do dziś dnia, według opowiadań podróżników, pasterze równin peruańskich mają go używać do liczenia swoich trzód. W każdym razie dziwny ten sposób pośrednim jest między pismem hieroglificzném i głoskowém.

Daleko dzielniejszym był w skutkach wynalazek liter, czyli znaków dowolnych, przez który człowiek powoli wyzwolił się z pod utrudzającego użycia hieroglifów. Język jego zyskał na wyrobieniu i związku wewnętrznym, zkąd wypłynęła konieczność oznaczania takich przedmiotów, na jakie już przyroda dostarczyć nie mogła obrazów. Rylce kamienne były narzędziami, któremi w Egipcie i Chinach, w owych starodawnych siedliskach kultury ludzkiéj, pisano na płaskich cegłach i na cienkich łupnikach. Zaczęto zamiast papieru używać płytów metalowych, zapewne pierwiastkowo z ołowiu, jako najłatwiejszego do obrobienia. Lecz do pisania na metalu potrzeba było trwalszych rylców, i człowiek zaczął je wyrabiać z żelaza. To wszystko jednak nie wystarczyło umysłowi ludzkiemu, postępującemu naprzód bez zatrzymania się: zaczęto w drzewie ryć głoski kością lub miedzią; następnie pociągano tablice drewniane woskiem i pisano na nich rogiem lub sztyftami srebrnemi; daléj wzięto się do liści, mianowicie palmowych; późniéj jeszcze do łyka drzewnego, które Rzymianie zwali liber, i dla tego u nich liber znaczy także książkę.

Starożytni Niemcy pisali zrazu na łyku brzozowém. Z tego powodu najdawniejsze niemieckie pismo epiczne nazywa się śpiewem brzozowym (Birkengesang). Od łyka do tkaniny lnianéj i bawełnianéj, był tylko jeden krok naprzód, a wtedy rylec zmienił się w pendzel i farby.

Kilka tysięcy lat przeszliśmy jak w przelocie. Nadchodzi teraz czas Aleksandra Wielkiego (około r. 336 do 323 przed Chrystusem), i razem z użyciem krzewu papyrusowego rozpoczyna się nowy okres oświecenia w Egipcie.

Ciekawa ta roślina należy do rodziny cibor. Krzew papyrusowy rośnie w Kalabryi, Sycylii, Syryi i Egipcie. Podobny do naszéj trzciny, tworzył nad brzegami całe lasy, wypuszczając długie, grube, trójkątne łodygi. Starożytni wyrabiali z niego materace, powrozy, a księża egipscy trzewiki. Papier otrzymywano z wewnętrznych włókien łodygi, oddzielając ją ostrą muszlą, zlepiając wodą nilową, a w końcu susząc i gładząc. Papier skoń-

czony zwał się biblos, zkąd pochodzi nazwisko biblii. W starym testamencie znajoma jest ta roślina pod imieniem Gome: u teraźniejszych Arabów nazywa się Burdich. Ten nowy materyał do pisania powszechną wkrótce zjednał sobie sławę, i jako ważny artykuł handlu stanowił bogactwo Egiptu tak dalece, iż Firmus książę egipski chwalił się, że posiada tyle papieru, ile potrzeba na utrzymanie licznéj armii.

Odkrycie tego papieru naturalnego, pociągnęło za sobą powiększenie ilości książek. Znaleźli się także zbieracze takowych. Ptolomeusz II z Eumenetem królem Pergamu walczył o lepszą w zakładaniu wielkich księgozbiorów, a wreszcie powodowany zazdrością, wydał zakaz wywożenia papieru do Pergamu, tak że wszyscy mieszkańcy tego kraju uczuli najdotkliwszy niedostatek artykułu już prawie niezbędnego. Potrzeba jest matką wynalazków: silono się na otrzymanie nowego materyału piśmiennego i wynaleziono go nakoniec w skórach zwierzęcych, które człowiek, party koniecznością, potrafił uczynić giętkiemi. Powstały tym sposobem na dwieście mniéj więcéj lat przed Chrystusem pergamin, tak nazwany od miejsca swego pochodzenia, do tego stopnia odpowiadał celowi, że wyparł krzew papyrusowy, zamiast rylca srebrnego wprowadził gęsie pióro, i, aż po za wieki średnie utrzymał się w użyciu. W czasie, gdy krzew papyrusowy wyłącznym był jeszcze piastunem oświaty, mieszkańcy Aleksandryi tak znaczny handel prowadzili papierem, iż cło od tego artykułu ogromne państwu rzymskiemu przynosiło dochody. Gdy późniéj Teodoryk zniósł tę opłatę wchodową, Kassyodor uważał to słusznie za szczęśliwe dla rodzaju ludzkiego zdarzenie. Użycie egipskiego papieru trwało do XI wieku, znacznie jednak zmniejszone upowszechnieniem pergaminu; nareszcie znikło zupełnie, gdy wynalazek papieru bawełnianego przeniesiony został od Arabów do Europy.

Ten papier, znany w handlu pod nazwiskiem greckiego pergaminu, miał już niejakie podobieństwo z naszym papierem teraźniejszym; ale był jeszcze zbyt kruchy i tak nierówny, że tylko pendzlem i z wielkim mozołem można było na nim pisać. Nakoniec około r. 1270, w Niemczech podobno, powzięto myśl korzystania z lnu i konopi. Ten wynalazek wymagał machin, gdyż ręczna robota nie była już dostateczną, i dopięto zamierzonego celu założeniem papierni. Pierwsza papiernia powstała w r. 1390 w Norymberdze. Nowy papier z wielkim pospiechem rozszedł się po całéj Europie, a późniéj po Ameryce. Jak wysoko zaś ceniono ten wynalazek, dowodzi ta okoliczność, że Spielmann, Niemiec, który go przywiózł do Anglii, został za to pasowany na rycerza.

Rozszerzony użytek papieru i coraz wybredniejsze żądania, przedewszystkiém zaś wynalazek sztuki drukarskiéj, sprawiły nowy w fabrykacyi jego przewrót. Siwe, nieczyste, grube konopie nie były już dostateczne. Szukano lepszéj materyi w torfie, włóknie drzew, słomie i mchu, aż nareszcie, jak perłę ukrytą w śmieciach, znaleziono ją w zużytéj bieliźnie, w starych sukniach i szmatach. Do szesnastego wieku znano tylko papier klejowy czyli piśmienny, lecz wkrótce potém ukazał się i papier do druku. Człowiek dopiął swego i spoczął znużony, jak podróżny po męczącym przechodzie. Nic dziwnego przeto, że aż do roku 1820 żadnéj nowości nie napotykamy w téj gałęzi przemysłu. Od tego dopiero czasu wynalazek maszyny papierowéj utorował sobie drogę, a dziś tysiące takich maszyn dostarcza rocznie Europie przeszło 500 milionów funtów papieru, w wartości 60 milionów talarów.



Karól Karśnicki.
(Podług panotypu hr. Seweryna Mielżyńskiego).

Tak, w saméj rzeczy, historya papieru jest historyą rodu ludzkiego. Tylko fabrykant papieru przez taniość i praktyczność wyrabianego towaru, wywołał owe biblioteki, jakie już dziś każde większe miasto, a na mniejszą stopę, każda izba osoby roszczącéj sobie prawo do wykształcenia, koniecznie posiadać musi. W najoddaleńsze strony ziemi tysiące gazet, za kilka groszy roznosi dziś oświatę, czyniąc wszystkich uczęstnikami dobroczynnych jéj promieni. W tym razie nawet z zewnętrzności możemy wnosić o istocie wewnętrznéj. Wiek drukujący swoje pisma na białym papierze, niezaprzeczenia wyżéj stoi duchowo od tego, co drukował na bibule. Istotnie, każdy wiek mógłby być mierzony według swojego materyału piśmiennego. Chętniéj nierównie pisze się na cienkim, białym papierze, przyjemniéj się czyta w ozdobnéj książce; zamiłowanie piękna wywołuje dążności do kształcenia umysłu, a z nią obudza się w młodzieży ów wzniosły duch postępu, co wiedzie ludzkość całą ku wytkniętemu przez Opatrzność celowi. —

Przemytnicy z nad litewsko-pruskiéj granicy.

Przejmująco mroźny dzień zimowy miał się ku schyłkowi; oślepiający blask zachodzącego słońca gasnąc coraz bardziéj, zamieniał się na owo łagodne, różowe światło, co to na kształt odblasku świetności, oświeca zimowy grobowiec północnéj natury. Jechaliśmy po skrzypiącym śniegu przez gęsty las po nad litewsko-pruską granicą, na któréj mieliśmy stanąć najpóźniéj za godzinę. Celem naszéj podróży był dom leśniczego, leżący cztery mile z drugiéj strony granicy, w głębi ciemnego boru: dążyliśmy do ukochanego przyjaciela

z lat młodych, który mieszkał od dawna w Litwie jako nadleśniczy u księcia O. — On sam wiózł nas na sankach, ciągnionych trzema dziarskiemi, stepowemi rumakami; pędziliśmy tak szybkim kłusem, że jeszcze przed zapadnięciem nocy spodziewaliśmy się stanąć u kresu. Nielitościwy boreasz, wiejący dotąd przeraźliwie, któremu prawdopodobnie chodziło o to, aby nam w sposób jak najdotkliwszy dowieść, że pochodzi z lodowatych pustyń Sybiru, a od którego kosmate wilczury słabo nas tylko chroniły, przechodził powoli w straszliwy wicher, rozpoczynający dziką zabawkę rzucaniem ogromnych brył miękkiego śniegu. To zwinąwszy go w gęste kłęby, przerzucał przez gościniec na dalekie pola, to jak latające chmury ciskał ku wierzchołkom drzew, które wstrząśnięte wściekłą napaścią, stękają i jęczą. Za nędzną wioszczyną, któréj chaty głęboko pokryte śniegiem, leżały na skraju lasu, opuściwszy bity trakt, jechaliśmy rozległą dąbrową, w któréj nam wkrótce zniknęły wszelkie ślady. Wicher szalał jeszcze zapamiętaléj, lecz nasza dzielna trójka, która zapewne na rodzinnym stepie nie takie znosiła nawałnice i zawieje, dziarsko parskając, biegła naprzeciw śnieżycy.

— Wyborne to powietrze dla przemytników — zauważył mój przyjaciel, — i dziwiłoby mnie mocno, gdybyśmy dzisiaj nie spotkali tych dzikich urwiszów.

Tymczasem zbliżając się coraz bardziéj do granicy, przejeżdżaliśmy polem, które znawcom tutejszych stósunków zdradzało natychmiast szkodliwy wpływ przemytnictwa. Wielka bowiem część gruntu była pustym ugorem, ponieważ chłop litewski przenosząc łatwy na przemytnictwie zarobek nad ciężką pracę w polu, którą w ogóle obarcza kobiety, od wielu pokoleń całe przestrzenie ziemi pozostawia odłogiem.

Wieś, przez którą jechaliśmy następnie, była wedle słów mego przyjaciela, powszechnie znaną jako siedlisko przemytnictwa. Jakiż smutny obraz zaniedbania i stagnacyi w gospodarstwie roztoczył się przed nami! Na pół zakryte śniegiem nędzne chaty, niskie z obdartemi ściany lepianki, stanowiły ciasną uliczkę, będącą po największéj części mieszkaniem ekonomicznie i moralnie straconego proletaryatu, dostarczającego od lat wielu znacznego kontyngensu zbrodniarzy pogranicznych okręgów. Chłop i robotnik, znarowieni zarobkiem bez trudu na przemytnictwie, a odzwyczajeni od uczciwéj pracy, stają się wałęsającymi złodziejami i pijakami trwoniącymi lekkomyślnie to, co łatwo zarobili. W skutek pijaństwa i gwałtów wykonywanych na strożach despotycznego prawa, które się przyzwyczaił przekraczać, staje się przemytnik pod każdym względem niesumiennym, grubiańskim i skłonnym do kradzieży (mianowicie koni i bydła), do rozboju, podpalania, morderstw, słowem do wszystkich zbrodni, stanowiących materyał kryminalnego sądownictwa owych okolic.

Przemytnicza wioska leżała już po za nami — przy zachodzie słońca pędziliśmy lotem ptaka przez ciemny bór sosnowy, którego olbrzymie drzewa tak blizko stały nad drogą, że nas często dotykały rozłożyste, śniegiem okryte konary. Nagle zagłuszyło odgłos dzwonków naszych silne szczekanie psów, i skręcając na brzegu lasu, spostrzegliśmy w oddaleniu karczmę, którą mi nasz towarzysz wskazał, jako osławione miejsce zboru przemytników, przedsiębiorących ztąd, pod zuchwałem dowództwem gospodarza, wyprawy przez pobliską granicę. Przyjęci dzikiem wyciem dwóch olbrzymich brytanów, zbliżyliśmy się do samotnego domu, którego biały, kulkami z lodu pokryty dach odbijał dziwnie od ciemnych, ponurych sosen, stojących w głębi. Błękitnawy dym, ulatujący w gęstym obłoku z zapadłego komina, aby potém ulotnić się w wichrze, zapraszał w gościnę, choć oberża zresztą nic wabiącego nie zawierała. Zatrzymawszy tedy nasze żwawe koniki, wstąpiliśmy niskiemi drzwiami do ciemnéj izby; panujące tu ciepło rozgrzało nam zdrętwiałe członki, lecz gęsty dym, wychodzący z rozpalonéj paszczy ogromnego pieca, nieprzyjemnie drażnił nos i oczy. Gospodarza nie było w domu, a jego żona, stara, mocno opalona Litwinka, mierząca nas niedowierzającym, ponurym wzrokiem, zapytała łamaną niemczyzną, czego sobie życzymy. Otrzymała polecenie opatrzenia naszych koni; my zaś wzięliśmy się energicznie do podróżnych zapasów. Wtém usłyszeliśmy na dworze wielki zgiełk: rżenie koni, szczekanie psów, trzask biczów i głośne wołanie.

— Oto idą przemytnicy, — rzecze mój przyjaciel — a gdyśmy przystąpili do okna, zobaczyliśmy dziwnie ożywiony widok: około piętnastu sanek zatrzymało się na obszernéj, zwykle opuszczonéj przestrzeni, i wciąż nadjeżdżały inne. Dzikie, malownicze postacie krążyły, głośno i namiętnie rozprawiając i często wskazując na nasz pojazd, tak iż pojęliśmy, że obecność obcych w ich siedzibie sprawia im niepokój. W téj chwili nadjechał konno silny, barczysty Litwin, w którym nasz leśniczy poznał gospodarza tego gniazda przemytników, — do niego zwrócili się z pytaniami owi ludzie. Następnie wszedł on do pokoju z uprzejmém pozdrowieniem, i zobaczywszy mego przyjaciela, znajomego mu z dawnych podróży, zawiadomił nas, że owi przybysze, żmudzcy i litewscy przemytnicy, téj nocy zamyślają przedsięwziąć wielką wyprawę — że ich tedy przestraszyła obecność obcych osób, których mieli za Moskali, i dla tego ich w téj mierze uspokoi.

Wyszliśmy z nim razem przed dom, a gdy im powiedział, że jesteśmy ludźmi zupełnie bezpiecznymi i że się od nas nie potrzebują lękać zdrady, pozdrowili nas, mrucząc po przyjacielsku i poufale. Przypatrywaliśmy się z zajęciem téj ruchoméj, charakterystycznéj scenie; uchwyciłem potém papier i ołówek, by choć pospiesznie naszkicować rozwijający się przedemną obraz.

Wysmukłego, a chudego wzrostu, silnéj, żylastéj budowy ciała, zwinni i ruchliwi, noszą krótkie kożuchy lub kapoty z grubéj, swojskiéj materyi, szerokie spodnie, pokrycie nóg sporządzone ze skóry albo lipowéj kory, wreszcie czapki z lisiego, wilczego lub niedźwiedziego futra. Patrząc na ten malowniczy ubiór, dziwiłbym się bardzo, że jaki malarz polujący na nowe przedmioty, nie wyśledził ich tu dotychczas, gdybym nie pomyślał, jak wielką przegrodą traktów od wygodnego świata ludek ów jest odłączony. Żmudzini są gałęzią starożytnego pnia litewskiego, zamieszkującego północno-wschodnią stronę wschodnich Prus, a z którym zwyczajami, sposobem życia i językiem wielce są spokrewnieni. Uprawa roli, choć jeszcze bardzo zaniedbana, dostarcza im środków utrzymania, lecz prócz tego zwłaszcza w bliskości granicy, idąc w ślady sąsiadów za kordonem, tak zwanych pruskich Litwinów, szukają opłacającego się dobrze zarobku w przemytnictwie, działając albo na własną rękę, albo też służąc za przewodników, szpiegów i t. p. Sprytni i podstępni, potrafią oni znaleść tysiące środków do wykonania swych planów; wrodzona śmiałość powoduje ich często do przyjęcia otwartéj walki z moskiewskiém żołdactwem, z któréj zwykle wychodzą zwycięzko, gdyż są wybornymi strzelcami. Niemałą w tych przedsięwzięciach pomocą są dla nich niepozorne, lecz szybkie i wytrwałe konie. —

Takiemi były postacie kręcące się przed samotną karczmą, a zajęte wszelkiego rodzaju przygotowaniami do niebezpiecznéj wyprawy; tu łatali jedni uprząż dla koni, tam rozdzielali drudzy ładunek w małych beczkach i pakach, tam wynoszono broń i opatrywano troskliwie, ówdzie opuszczali obóz pieszo i konno szpiedzy, otrzymawszy poprzednio wskazówki od przewodnika, który zwołał kilku Litwinów na wielką radę wojenną. Szczególniéj zwróciła naszą uwagę grupa w środku sceny, ze starym Żydem, tak zwanym faktorem na czele. Stara, tysiącznemi zmarszczkami porysowana twarz, z chytremi oczyma, błyskającemi z pod białych rzęs, była wyborném świadectwem jego podejrzanego rzemiosła, w którém,

jak zapewniał, „zaszczytnéj doczekał się siwizny.“ Szczególne to wyrażenie nie było poniekąd bezpodstawném, gdyż kupcy zawierzający swój towar dyskrecyi podobnych ludzi, często stawiali na kartę dziesięć do piętnastu tysięcy talarów; gdyby więc który z przemytników porozumiał się z moskiewskimi strażnikami, pod warunkiem otrzymania pewnéj części łupu, straciłby przedsiębiorca cały ładunek. Kilku przemytników otoczyło starego Żyda, dowodząc mu, że chcąc, by się wyprawa powiodła, trzeba będzie nadstawić karku, że tedy dla podniesienia ducha dobrze podpić należy. Lecz stary, chytry syn Abrahama, nie jest, jak sam powiada, „dzisiejszym, ani wczorajszym;“ wydał on już swym ludziom zwykłą ilość wódki, i jéj skutki wystąpiły już na zarumienionych policzkach — opiera się więc stanowczo ich wymaganiom, tłumacząc się wielką odpowiedzialnością w razie nadużycia upajającego płynu.

Po przybyciu kilkunastu jeszcze Litwinów z pobliskiéj wsi przemytniczéj wraz z jucznemi końmi, i po ukończeniu wszelkich przygotowań, wyruszyła cała karawana pod zasłoną gęstego lasu. Nie mogliśmy za nimi jechać, nie chcąc się narazić na złe skutki; zwróciwszy się przeto inną drogą ku granicy, przekroczyliśmy ją na komorze — dopiero z powrotem dowiedzieliśmy się bliższych szczegółów o gospodarzu owéj karczmy w lesie.

Janis Caireronke, czyli lewa ręka, taki bowiem nosił przydomek, ponieważ w bójce z moskiewskim sołdatem postradał dłoń u prawéj ręki, opowiadał mi wówczas, co następuje:

— Przybywszy owego wieczora nad granicę, zatrzymaliśmy się z téj strony w gęstwinie, chcąc zaczekać dopókiby się bardziéj nie ściemniło. Powietrze było tak nieznośne, że ze strony Moskali byliśmy dość bezpiecznymi, lecz co innego nas niepokoiło. W ostatnich czasach przedsięwzięcia nasze kilkakrotnie się rozbiły o zdradę, a lubo odbiorcy zapewniali nas teraz, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, lękając się wszakże zasadzek, tém większe postanowiliśmy przedsiębrać ostrożności. „Jeśli przeciwnicy chcą nas pochwycić, to my sobie z nich zażartujemy — bo jeśli Moskal odznacza się przebiegłością, Litwin jest odeń dziesięćkroć przebieglejszym“, rzekłem do moich ludzi, wysyłając mały oddziałek pod dowództwem starego Jurgi, zwanego powszechnie Syberyjczykiem, aby rzekomém przekroczeniem granicy na oddalonym punkcie zmylić czujność strażników. Wziąwszy tedy na plecy wory napełnione słomą i próżne pudła, ruszyli na lewo. Stary Jurga znał się wyśmienicie na podobnych wybiegach, bo w ciągu trzydziestoletniego zawodu miał sposobność dobrze się w nich wyćwiczyć. Poszedł on ku lewéj stronie wzdłuż granicy aż do domku strażnika; przeszedłszy tu na drugą stronę, spotkał patrol, a ten zaalarmował natychmiast straż. Zebrawszy się wśród przekleństw, dała ona ognia do naszych; ci odstrzeliwając się, ustąpili za kordon, lecz oddalając się ciągle od nas, postępowali zawsze nad granicą, utwierdzając Moskali w przekonaniu, że tamtędy chcą wkroczyć na ich terytoryum. W ten sposób udało nam ich się zupełnie oszukać, w czém nie mało dopomogła ciemność nocy i szum wichru.

Czekałem tymczasem wraz z resztą ludzi ukryty w gęstwinie, bo chodziło nam o to, by wedeta objeżdżająca zwykle w tém miejscu granicę, oddaliła się od miejsca naszego schronienia. Wdrapałem się na starą, rozłożystą sosnę, zkąd widziałem dobrze po obu stronach dość daleko tak zwany grunt neutralny, t. j. kilkanaście kroków szeroki, obydwiema granicznemi groblami objęty pas ziemi. Oprócz strzałów Moskali do naszych i na odwrót, słysząc także sygnały na wprost przeciwnéj stronie, a więc od nas na prawo, oczekiwaliśmy w największéj cichości nadbiegającéj ztamtąd konnéj pikiety. Podwładni moi stali przy koniach, by módz w danym razie zapobiedz rżeniu tychże; cały orszak był ustawiony w jak największym porządku: szpiedzy, przewodnicy i przemytnicy, niosący tańsze towary, szli naprzód, za nimi postępowały sanie podług wartości ładunku. Widząc, że wszyscy zachowują wzorowy porządek, nasłuchiwałem i śledziłem z wysokości méj pozycyi, co się dzieje w pobliżu pod czarną zasłoną nocy. Wreszcie posłyszałem tak dobrze mi znany chrzęst broni i niebawem nadjechała mocnym kłusem pikieta. Było to jedenastu jeźdźców, między nimi jeden oficer; jechali z zamiarem odcięcia skrętu granicznéj drogi, przez terytoryum pruskie tak blisko obok méj kryjówki, że jednemu z nich byłbym mógł nieomal niedźwiedzią czapkę wziąć z głowy, — lecz nie spostrzegli mnie w ciemności, i wkrótce znikli mi zupełnie z oczu.

Zeskoczywszy prędko z drzewa, pobiegłem do moich ludzi i dałem rozkaz do marszu. Przebyliśmy granicę w jak największym pospiechu, bo zależało nam wiele na tém, abyśmy wówczas, gdyby Moskale szukając z latarniami na neutralnym gruncie, ślad nasz spostrzegli, — byli już od nich daleko. Przez lasy, pola i bagna, po największéj części w głębokim śniegu brodząc, stanęliśmy po upływie półgodziny przed drugim domkiem strażnika. Szpiedzy wysłani w celu dostania języka, wrócili z radosną nowiną, że tu jeszcze panuje spokój; przebywszy i tę linią szczęśliwie, dotarliśmy około północy do celu naszéj wyprawy i złożyliśmy powierzone sobie towary na ręce syna przedsiębiorcy. Jeszcze téjże saméj nocy powróciliśmy do domu niezaczepieni przez nikogo, zadowoleni, że nam się udało zrobić dobry interes i moi podwładni jakby na pożegnanie strzelili kilka razy do domu strażnika, a ja dałem staremu znajomemu kapralowi rosyjskiemu, Gregoriewowi, mieszkającemu opodal, dawno przyrzeczoną butelkę araku.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Juhasy.

(Z ryciną. Illustr. Przewodnik).

Na wiosnę koło Zielonych Świątek, zwykle w Tatrach wychodzi pasterska osada z owcami, psami i wszelkiemi przyborami na hale, t. j. pastwiska, wybrawszy naczelnika zwanego bacą, który sobie juhasów czyli pasterzy dobiera, żywi żętycą, wynagradza każdego z nich wedle ugody jednym lub dwoma podojami z całego kierdelu t. j. stada owiec, co kilka funtów sera na sprzedaż uczyni. Baca zaś każdemu gospodarzowi od jego owiec oddaje ugodzoną ilość séra owczego. Co przewyższa, gdy rok dobry, to pozostaje przy nim. Znaczny im dochód przynosi sprzedaż żętycy gościom w Zakopanem. Przesąd, że tylko w tym lub w owym szałasie dobra żętyca, sprawia, iż wszyscy prawie goście cisną się do jednego bacy. Umieją bacowie zniewalać sobie dziewczęta znoszące żętycę gościom na wsi, a te zachwalają tego, ganiąc owego.

Miło przy napotkaniu szałasu pogadać z bacą, który jako wybraniec, bywa zwykle człowiekiem rozsądnym i uczciwym. Koło święta Wniebowzięcia N. P. Maryi (15 sierpnia) spędzają już owce dla rozpoczynających się żniw. Na kilka dni przedtem odbywa się w szałasie częstokroć hulanka z muzyką, tańcami i pijatyką, a powrót sam odbywa się z malowniczą oryginalnością.

Pasterstwo na halach ma wiele w sobie poezyi, ale oducza młodzież od pracy, tak iż dopiero bieda zmusza do roboty. Z ju-

hasów rekrutowali się opryszki, bo cały dzień łażą po górach i słysząc opowiadania o zbójcach, dziwnie pociągającego doznawali wrażenia i wyrobili sobie idealne pojęcie o tém zbrodniczém rzemiośle, co ich popychało do rabunków i rozbojów. Nazwisko Juhat pochodzi od węgierskiego juhász owczarek, juh, znaczy owca.

Karól Karśnicki.

Wspomnienie pośmiertne

(z ryciną).

Do smutnéj kroniki życia naszego, zapisujemy śmierć ś. p. Karola Karśnickiego — Wypadek ten tém boleśniéj w duszach współobywateli się odbił, że śmierć, w osobie Karola Karśnickiego, zabrała nam obywatela, stojącego od młodości do dni ostatka, na straży praw i obowiązków narodowych. Karól Karśnicki urodził się r. 1804, w województwie kaliskiém z Antoniego i Maryanny z Głębockich, Karśnickich. Początkowe wychowanie pobierał w konwikcie XX. Pijarów w Wieluniu, a późniéj w szkołach w Krakowie. Gdy doszedł lat młodzieńczych, jednym z powabniejszych wówczas zawodów, był zawód wojskowy, siedmnastoletni Karól poświęcił się jemu i jako kadet pionierów zaliczony został do batalionu saperów. Po przejściu niższych stopni téj broni, w dniu 3 października 18 4 r awansował na podchorążego, a 6 lipca 1830 r. po złożeniu egzaminu otrzymał patent podporucznika. Była to właśnie chwila agitacyi przed mającém rozpocząć się działaniem rewolucyjném. — Umysł bystry, charakter silny i miłość koleżeńska, która otaczała Karóla, niepozwoliły mu w tych ważnych chwilach w cieniu pozostać. Nieodłączny towarzysz i przyjaciel Piotra Wysockiego, Mochnackiego i Stanisława Poninskiego był jednym z głównych twórców powstania listopadowego. „On to,“ mówi Mochnacki, „na zgromadzeniu podchorążych dnia 16go grudnia 1824 r. stanowczo zdecydował wszystkich do zobowiązania się pod grzysięgą, że wielkie dzie o oswobodzenia kraju do skutku doprowadzane będzie.“ W pamiętnéj nocy 29go listopada był w pierwszych szeregach, mających wywalczyć niepodległość ojczyzny. — Naoczny świadek opowiada, że kiedy go wówczas wśród tłumu Mochnacki spostrzegł, przywołał i rzekł: „Włóż czapkę frygijską i z wysokości ratusza, ogłoś się rządem.“ Niewiemy, czy obawa odpowiedzialności, czy też inne pobudki od tego kroku wstrzymały Karóla, w każdym razie dowodzi to wybitnego stanowiska, jakiego w owych czasach fermentu dobić się potrafił. Straszną tę noc spędził on ze swym batalionem saperów na obronie arsenału i w walce z gwardyą wołyńską, stojącą w koszarach artyleryi, przy ulicy Dzikiéj. Konserwatywny rząd ówczesny, wysyłając w szeregi twórców nocy listopadowéj, usunął ich z widowni i w dalszym ruchu do drugorzędnego stanowiska zniżył. Lecz i tu niezrażony Karśnicki potrafił obowiązek spełnić i godnie ojczyznie służyć. W ciągu walki zaliczony był, jako oficer inżynieryi, do korpusu generała Sierakowskiego; brał udział w bitwach pod Nową wsią, Wronowem i Kazimierzem, a w skutek waleczności i zasług położonych otrzymał stopień porucznika i krzyż złoty virtuti militari, nakoniec w lipcu, za odznaczenie się przy stawianiu mostu na Wiśle, dla ustępującego przed przeważnemi siłami generała Chrzanowskiego, stopień kapitana.

Z upadkiem powstania, uległ on losowi całéj nieszczęśliwéj armii — poszedł szukać przytułku na ziemi gościnnéj Francyi. Wyrok zaoczny najwyższego sądu skazał między innemi i Karśnickiego na śmierć, jako twórcę walki o niepodległość, a tym, dał najlepsze świadectwo jego gorliwych prac dla ojczyzny.

Stanąwszy na ziemi przodującéj przemysłowi, bez straty czasu poświęcił się temu zawodowi, tak że już w r. 1838 został uwieńczony dyplomem na inżyniera cywilnego. Techniczne swe zdolności poświęcał ś. p. Karól początkowo w Hiszpanii, gdzie już to przy górnictwie, już to jako pełnomocnik kompanii angielskiéj przy oświetlaniu gazem Badyksu, Barcelony i Madrytu zatrudniony bywał, nakoniec przeniósł się do Francyi jako inżynier przy budującéj się kolei z Tours do Nantes. Gorliwa praca i oszczędność, pomimo ciągłéj gotowości do ofiar, dozwoliły mu zdobyć fundusz, z którego zakupił na własność willę pod Paryżem. W tymże czasie, tj. w r. 1844 połączył się węzłem małżeńskim z Teklą z Karśnickich, córką ś. p. Józefa, niegdyś posła na sejm warszawski. Ognisko rodzinne obudziło w nim żywszą tęsknotę za ziemią ojczystą — gdzie ostatki dni swoich spędzić pragnął. Starania o uzyskanie u rządu pruskiego, pozwolenia pobytu w poznańskiém skutek pomyślny odebrały. W r. 1853 przybył ś. p. Karól wraz z żoną do Poznania i tu na czas niejaki zamieszkał. Ale tego rodzaju życie bezczynne nie odpowiadało usposobieniu ś. p. Karóla — opuścił więc w krótce Poznań i przeniósł się do nabytych dóbr Mystki, w powiecie średzkim położonych. Odtąd dom jego stał się jednym z ognisk inteligentnego ruchu prowincyi naszéj — wysokie wykształcenie, praktyczność z trudnych kolei życia uniesiona, gościnność staropolska, w końcu gotowość w niesieniu pomocy radą i czynem, w każdéj ważniejszéj chwili skupiała koło niego współobywateli. Wszystkie stowarzyszenia i instytucye narodowe w prowincyi liczyły go jako swego przedstawiciela. Wspomniemy tu tylko Towarzystwa Rólnicze, Towarzystwo Przemysłowe w Poznaniu, Stowarzyszenie urzędników gospodarczych itd.

W krótkiém tém wspomnieniu pośmiertném, wyliczyliśmy tylko część zasług ś. p. Karóla. Umarł on dnia 11 bm. we wsi swéj Mystki, a pochowanie zwłok odbyło się dnia 15 b. m. na cmentarzu w Targowéj Górce. — Koledzy wojskowi, deputacye stowarzyszeń prowincyonalnych i obywatele ze stron najoddaleńszych, towarzyszyli pogrzebowemu pochodowi.

W obec licznych strat przedstawicieli społeczności naszéj, strata Karóla Karśnickiego tém żywiéj dotyka, że nie wielu widzimy, którzyby opróżnione stanowiska godnie zastąpić potrafili. Dziś starcy żyją czynem i nadzieją, kiedy młodość trąci samolubstwém i obawą. Róża stała się godłem starości, a czarny wual pokrywa wzrok i imaginacyą młodzieży. Samolubstwo zastępuje miejsce poczucia obowiązków — obowiązków tém cenniejszych, że w naszém położeniu li-tylko na nich byt nasz spoczywa. Cześć więc tym, którzy w trudnéj drodze życia naszego, zadanie przewodników podjęli. — Cześć tym, którzy stanąwszy raz na wyłomie, pomimo niebezpieczeństw opuścić go nie chcieli. — Cześć tym — którzy, jak ś p. Karśnicki, od młodości do dni swoich ostatka, z przedniéj straży obowiązków narodowych na chwilę nie ustąpił. —

Statystyka wojen.

Ani jeden rok z wieku bieżącego nie cieszył się zupełnym pokojem. — W jedném lub w drugiém miejscu ciągle wojny trwają — lecz większa ich część prowadzoną była między narodami cywilizowanemi. Od roku 1800 w Anglii wojowano proszę lat 49. trzy wojny przeciw Francyi, dwie przeciw Rosyi, pięć przeciw Chinom, dwie z Danią itd. Francya miała 37 łącznie z obecną. Rosya 21. Austrya więcéj umiarkowana liczy 12; nakoniec Prusy prowadzą dziś siódmą. Prócz starć państw wielkich starego świata, musimy zaliczyć jeszcze częste rewolucye Hiszpanii, Włoch, Polski i Państw Naddunajskich, które nie mało krwi rozlały. Wojna o niepodległość w Grecyi trwała lat 7 W Ameryce Południołwéj wojna stała się stanem chronicznym; rewolucye nie ustawały w Meksyku. Prócz tego ciągle wojny cywilne, Kuba, Haiti, Saint-Domingo, z małemi przerwami były ich placem. Trudno byłoby znaleść jedną narodowość w świecie, któraby w tym wieku wewnątrz lub zewnątrz nie prowadziła wojny. W pierwszych piętnastu latach tego wieku pożar wojny objął całą Europę; rozniósł się on aż do Ameryki. W następnych latach dziesięciu wojowano w Meksyku, w Ameryce Centralnéj i Południowéj Z kolei przychodzi Azya i Afryka. Po nich ida powstania polskie, węgierskie, wojny krymska, włoska, duńska, niemiecka i nakoniec francuzka zajmuje ostatni peryod —

Szarada.

Pierwsze i drugie zastrasza i boli,
Trzecie i drugie działać nie pozwoli,
Czwarte i trzecie w okrętach, w kościele,
Drugie i czwarte sprawia cierpień wiele.
Gdy wreszcie wszystka pośród piasku brodzi,
Pierwsze i trzecie ze wschodu przychodzi.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 39: ***Emigrant***).

Korespondencya Redakcyi.

Panu Rościszewskiemu, Wielka Łęka: Dziękujemy. — Panu Amb. w Genewie: Listownie odpowiemy — dziś przyjm Pan podziękowanie. — Panu Dzikowskiemu w Warszawie: Żadnych listów nie otrzymaliśmy, — o warunkach z listu Pan się dowie. — Pani Rydz. pod Przemyślem: Nie wiemy o co Pani chodzi, — listu bowiem Redakcya nie otrzymała. — Panu Aleksandrowi Ryb. w Dreźnie: Korespondencya nie odpowiada zadaniu Sobótki — zkąd inąd znowu tchnie osobistemi uwagami, które przed forum publiczne nie powinny być wytaczane. —